

Andrzej Świłło

Tropem historii

Powoli zbliżamy się do 60-tej rocznicy utworzenia Towarzystwa Miłośników Ziemi Krośnieńskiej, które, jak sama nazwa wskazuje, było i pozostało po dziś organizacją, która z różnym nasileniem starała się uczestniczyć w życiu oraz brać udział w rozwoju naszej lokalnej społeczności. Wprawdzie udokumentowana działalność datuje się na 1959 rok, ale już rok wcześniej podjęto szereg przedsięwzięć cementujących społeczeństwo naszego powiatu, na co z pewnością wpływ miały wydarzenia ogólnokrajowe. Odwilż polityczna, jaka nastąpiła po „Październiku 1956”, utworzenie Frontu Jedności Narodu, powstanie w 1957 roku Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, które tchnęło nowe impulsy do rozwoju tych terenów. To wszystko miało niebagatelny wpływ na ożywienie życia społecznego w, jak dziś to często określamy, „Małych Ojczyznach”. Jak wspomina Jerzy Fleszar, ówczesny przewodniczący Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu, w 1958 roku i na długi czas zagościło w naszym środowisku określenie „Ziemia Krośnieńska”. Kiedy włączono do naszego powiatu część gubińskiego, przez 8 lat używaliśmy określenia „Ziemia Krośnieńsko-Gubińska” i wiele wspólnych osiągnięć można pod ten „szyld” zapisać. Kolejne wiatry historii i zawirowania polityczne z nimi związane sprawiły, że w 1969 roku jednostniówka powiatowa sygnowana przez Powiatowy Komitet FJN pojawiła się pod tytułem „Ziemia Krośnieńska”.

W 1958 roku po raz pierwszy obchodziliśmy „Dni Ziemi Krośnieńskiej”, stąd często zamiast o powiecie, mówiono używając wspomnianego określenia „Ziemia Krośnieńska”. Niewątpliwie na to wszystko miały też wpływ zbliżające się obchody 1000-lecia państwa polskiego i podejmowane związane z tym różne przedsięwzięcia, jak choćby odgruzowywanie Krosna Odrzańskiego. W 1961 roku jednostniówkę „Ziemia Krośnieńsko-Gubińska” firmowało Krośnieńskie Towarzystwo Przyjaciół Kultury a w 1963 roku Komitet Obchodów Dni Ziemi Krośnieńskiej. Podaję te informacje nie dlatego, aby zamieszać w umysłach czytających, ale aby pokazać, że zawsze pojawiały się różne spojrzenia, namiętności, ale życie toczyło się dalej. Dziś także patrzymy na to zupełnie inaczej pod wpływem pewnych doświadczeń życiowych i doznanych przeżyć, różnie oceniamy przeszłość i każdy powinien mieć do tego pełne prawo. Sięgnąłem do wydawanych wtedy „Roczników Ziem Zachodnich i Północnych”, w jednym z nich znalazłem taką adnotację: „We wrześniu 1958 roku odbyły się Dni Ziemi Krośnieńskiej”. Grono działaczy postanowiło powołać Koło Miłośników Ziemi Krośnieńskiej, które wkrótce przekształcono w Towarzystwo Miłośników Ziemi Krośnieńskiej. Byli to według dokumentów: Józef Fleszar a powinno być Jerzy Fleszar, Józef Bojarski, Bronisław Podkański, Ronald Gapik, Leopold Sławiński – osoby na ogół znane i szanowane.

W jednym z kolejnych roczników znalazłem taką oto notatkę: „Towarzystwo Miłośników Ziemi Krośnieńskiej w Krośnie nad Odrą powstało w 1958 roku, prowadzi aktywną działalność oświatową, popularyzuje tradycje swojego regionu, współorganizuje Dni Ziemi Krośnieńskiej, w oparciu o własny klub podejmuje przedsięwzięcia rozrywkowo-towarzyskie, jako jedno z nielicznych towarzystw regionalnych posiada agendy wiejskie (Osiecznica, Bytnica, Wężyska). Zasłużeni działacze to Jerzy Fleszar, Julian Habrych, Leopold Sławiński, Kazimierz Urban”. Przyznam szczerze, że chociaż jestem członkiem Towarzystwa od 50 lat, o tym działaczu nic nie wiem, podobnie, o ile znam siedzibę byłego klubu TMZK w Wężyskach, gdyż tam bywałem, to o Osiecznicy i Bytnicy niewiele mogę powiedzieć. Ludzie przychodzą, działają społecznie, odchodzą, czas przemija i zaciera po nich ślady. Zrodziła się więc w naszym Towarzystwie przed jubileuszem myśl, aby odtworzyć w pamięci tak ludzi, jak i towarzyszące im wydarzenia. Od 1945 roku nasza Ziemia Krośnieńska zmieniła swoje oblicze, ale nie stało się to samoistnie, wpływ na to mieli ludzie, oni to uczynili w codziennej mozolnej, często pełnej przeciwności pracy.

Wielkie słowa uznania Józefowi Ostrowskiemu za publikację *Najnowsze dzieje Miasta i Gminy Krosno Odrzańskie 1945-2011* ale dobrze by było pogłębić wiedzę w tym przedmiocie. Żyli, a i jeszcze dziś żyją wśród nas ludzie, którzy w mniejszym lub większym stopniu zaistnieli w historii naszej społeczności lokalnej, powstała więc idea, ab pokazać ludzi, którzy często przez skromność lub opuszczenie naszego terenu nie eksponowali swych dokonań, niekoniecznie spektakularnych, często na miarę swojej wsi, którą niegdyś zamieszkiwali, lub nadal tam żyją. Określałbym ich „cichymi bohaterami”, często przybywali oni do naszego powiatu z bagażem bogatych doświadczeń w swoich życiorysach ale po zakończeniu kariery zawodowej często odchodzili w zapomnienie, lub też opuszczali nasz region, by nadal służyć Polsce gdzie indziej. Warto przy tym wszystkim pamiętać, że na terenie powiatu, w sąsiednim Gubinie działalność prowadzi Gubińskie Towarzystwo Kultury, w 1963 roku była nawet próba połączenia obydwu organizacji, powołano wspólny zarząd, jednak nie wiem, jakie były dalsze losy tej współpracy.

Chciałbym dla przykładu zasygnalizować tylko kilka postaci znanych mi z widzenia, bądź bezpośrednich kontaktów prywatnych, czy z racji współpracy. Mam przed oczyma Wacława Kojtycha jadącego w pilotce, jak dobrze pamiętam, swoim Iżem w czasie, kiedy tworzył w Krośnie Odrzańskim Bank Spółdzielczy. Był on przed wojną i w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku kawalerzystą w służbie zawodowej, w czasie wojny służył w 2 Armii LWP. Jest jednym bohaterów powieści Waldemara Kotowicza *Frontowe drogi*, opartej o autentyczne wydarzenia i z wieloma prawdziwymi postaciami. Można powiedzieć, że Krosno przez wieki wojskiem stało, również po II wojnie światowej, byli wśród nich także wojskowi osadnicy. W latach 1950-1952 Krośnieńską 4 Pomorską Dywizją Piechoty dowodził pułkownik, później generał Zygmunt Huszcza, postać nietuzinkowa. Jeden jego brat zginął w Katyniu, drugi nieco później pod Monte Casino, on natomiast został prymusem na pierwszym kursie oficerskim w Sielcach nad Oką i należał do grupy pierwszych 12 podporuczników Ludowego wojska Polskiego.

Stanisław Derkacz z Łochowic, inwalida po bitwie pod Lenino, następnie z tej samej wsi Julian Kondratowicz, który w czasie walk z UPA uciekł spod banderowskiego topora, żołnierz 34 pułku piechoty 8 Dywizji Piechoty, w filmie fabularnym *Ogniomistrz Kaleń* jego postać niezbyt wiernie posłużyła do napisania fabuły i scenariusza. Dziś ich i tysięcy podobnych zalicza się do niesłusznych żołnierzy, wielu z nich z upokorzenia wybawiła śmierć. Wspomnę jeszcze jednego- Bolesław Karpik, wieloletni pracownik rad narodowych, doświadczenie życiowe zdobył rozminowując „Wzgórze Śmierci” w Gubinie. Przez minione lata szczególnie aktywne społecznie było środowisko nauczycielskie, w pierwszych latach powojennych pracujące często z młodzieżą tzw. „przerośniętą” oraz dorosłymi w walce z analfabetyzmem a w czasie okupacji prowadzące, często z narażeniem życia, tajne nauczanie. Wielu z nich trafiło do naszego powiatu na tak zwany „dziki zachód” w ramach nakazów pracy na okres 3 lat, niektórzy po tym okresie „zesłania” wracali, ale wielu związało się na długie lat z naszą społecznością. Nie zapomnę Walerii Fabryczewskiej, nauczycielki z Grabina, która jeszcze w latach 70. Potrafiła przejechać rowerem te około 10 kilometrów do Bytnicy, aby włączać się do działalności społecznej. Profesor Uniwersytetu Śląskiego Edward Polański, współautor jednego ze Słowników Języka Polskiego, to także były krośnianin, nauczyciel języka polskiego i przysposobienia wojskowego naszym Liceum Ogólnokształcącym.

Dziś ludzi choćby cokolwiek znaczących w poprzednim okresie ustrojowym wsadza się do jednego worka i jeśli cokolwiek ktoś „chłapnie” niezgodnie z „jedyną słuszną racją”, to nie używając epitetów, ma „przechlapane”. Przepraszam za słownictwo, ale myślę, że jest ono wystarczająco dosadne, bez potrzeby rozwijania tematu. Ja podchodzę do tego nieco inaczej: wśród ludzi pełniących różne funkcje czy zajmujących stanowiska wyróżniam tych „u władzy” i tych „przy władzy”, czyli tych „do roboty”. Do takich zaliczyłbym Eugeniusza Rawę, który, jak to opisał Józef Ostrowski, pełnił w swoim życiu 90 różnych funkcji w organizacjach społecznych a także zajmował wiele stanowisk kierowniczych w administracji państwowej i radach narodowych. Dziś w wieku 92 lat Pan Eugeniusz jest Prezesem Koła Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych. Myślę, że warto a może nawet trzeba pamiętać o tych ludziach i ich dokonaniach na ziemi Krośnieńskiej.

**Andrzej Świllo, członek TMZK,
politolog, nauczyciel historii**

Andrzej Lambryczak

Nikt o zdrowych zmysłach nie kwestionuje zasług Solidarności w Krośnie.

Drodzy mieszkańcy mojej Małej Ojczyzny w ostatnich dniach rozgorzała dyskusja na temat ulicy WOP zmienionej przez radnych w wyniku konsultacji z mieszkańcami tej ulicy na Podgórną a obecnie z woli środowiska krośnieńskiego PiS-u zamienionej na Aleję Solidarności Krośnieńskiej. Do zmiany doszło w wyniku ustawy dekomunizacyjnej zakazującej propagowania komunizmu. To, że podczas tych konsultacji z mieszkańcami tej ulicy padła propozycja na nazwę Podgórną nie dziwi gdyż, mimo że ulica WOP istniała w przestrzeni od 70 lat to posługiwano się nazwą Podgórną. Jako żołnierz zasadniczej służby wojskowej służyłem w WOP-ie gdzie strzegłem z bronią w ręku granic naszego Kraju. Nigdy nie odczułem by mi wpajano ideologię komunizmu i wrogo nastawiano wobec Narodu Polskiego (nawet nie należałem, do Związku Socjalistycznej Młodzieży Wojskowej). Jedyne, co mi wpajano to obowiązujące regulaminy. Przecież ulice to infrastruktura użytku publicznego i innym mieszkańcom nie powinno być obojętne, jakie będą nazwy ulic w mieście. Czy to coś by zmieniło? Nie słyszałem, aby krośnińscy, „wopiści” zabrali konstruktywny słyszalny głos. Tu upatruję jeden z powodów „zamieszania i winę” radnych a drugi powód to komisja, która o tym decydowała była jednostronnie polityczna. Wspomniałem, że ja i wielu mieszkańców ma odczucie braku szerszej konsultacji z wszystkimi środowiskami partii i organizacji, jakie działają w naszej społeczności miejskiej (choćby z TMZK-a).

Jestem przekonany, że nikt o zdrowych zmysłach nie kwestionuje zasług Solidarności w naszym regionie. Sam, jako związkowiec czynnie nie akceptowałem tamtego ustroju. Krośnieńska Solidarność jak najbardziej zasłużyła na upamiętnienie w przestrzeni naszego miasta. Ale czemu środowisko to wcześniej nie upomniało się skutecznie o ten fakt a sprawę załatwiono „siłowo” w trybie decyzji nadzorczej Wojewody. W mojej ocenie, ale i wielu moich znajomych konsultacje nie powinny być zawężone tylko do mieszkańców tych ulic. Nie powinno być prężenia muskuł w mediach regionalnych, obwiniania z mównicy sejmowej a zwyczajnie po ludzku uzgodnienie sprawy w wyniku merytorycznych dyskusji. Dzisiaj Polska jest podzielona - w naszej małej ojczyźnie mamy też podziały: **mówimy PO myślimy Burmistrz Cebula mówimy PiS mamy na myśli Posel Kurzepa. To do tych panów apeluję dogadajcie się!** Lepszej okazji nie będzie mamy rok Niepodległej RP. Obaj panowie często deklarujecie w swych wystąpieniach chęć działania na rzecz integracji wszystkich środowisk, wspominacie o porozumieniu pomiędzy grupami, które mają różne spojrzenie na miasto, deklarujecie gotowość kompromisu. Głosicie o uczciwość w życiu osobistym jak i politycznym zwłaszcza w wymiarze samorządowym. Teraz macie szansę udowodnić, że to nie są puste słowa rzucane pod publiczność na kanwie zbliżających się wyborów samorządowych. Pamiętajcie – „Vox populi, vox Dei” (łac. „Głos ludu to głos Boga”) Bądźmy razem nie tylko podczas uroczystych gali i apeli. Wracając do naszej ulicy Podgórnej, która łączy obie części miasta dolną z górną może jak wszyscy odstawimy osobiste uprzedzenia i animozje upamiętnienie tej ulicy nazwą Aleja Solidarności Krośnieńskiej będzie aktem pojednania i wyrażeniem uznania dla wyjątkowej rocznicy i przywiązania do naszego miasta.



Dawna ulica Podgórna

100 Lat Niepodległości zobowiązuje nie dajmy się podzielić, udowodnimy swe przywiązanie do miasta i regionu. Obaj panowie i ich zaplecza mają niebywałą okazję sami to rozstrzygnąć w merytorycznym wspólnym dialogu: mieszkańców tej ulicy oraz zainteresowanego środowiska chcącego godnie uhonorować krośnieńską solidarność bez odwoływania się do sądu administracyjnego! Pamiętajcie Poseł i Burmistrz są dla mieszkańców a nie mieszkańcy dla Was! Czymś naturalnym powinno być, że radni naszego miasta z jednej opcji politycznej - PO powinni wsłuchiwać się w postulaty tych, którzy są z innych opcji i mają prawo wyrażać swą wolę. Jeśli chcą mieszkać np. przy ul. Wakacyjnej to, co do tego działaczom skoro nie umieli ich przekonać do innej nazwy. Spory polityczne są czymś naturalnym, ale niech ta rocznica pomoże w znalezieniu salomonowego rozwiązania. Szanujmy mieszkańców szanując się nawzajem usiądźcie do dialogu, bo jakikolwiek werdykt sądowy nie zażegna sporu a jedynie nasili istniejące antagonizmy w naszym mieście i regionie.

**Andrzej Lambryczak,
Członek TMZK**

Zdzisław Paduszyński

Z życia nie ludzkiego lekarza wzięte przypadki – Syczoryk Lubuszaninem cz.1

Urodziłem się 28 listopada 1946 roku we wsi Sobień trzy kilometry lasem od gminy Białaczów, województwo kieleckie, w rodzinie małorolnego chłopa na kolonii Łuby. Zima była wówczas mroźna, daleko od szosy, więc kiedy zrobiło się trochę cieplej i śnieg przestał padać, Matka postanowiła pójść do gminy i do księdza, aby zarejestrować moje urodzenie. Podała, że urodziłem się 2 stycznia 1947 roku i tak to poszło w dokumenty wszelkie. Takim to sposobem byłem o rok młodszy przy zapisywaniu do szkoły i rejestracji do wojska. Moja edukacja rozpoczęła się wcześniej, bo w piątym roku życia. Od szóstego roku poszedłem do szkoły podstawowej w Sobieniu, a że miałem o sześć lat starszą siostrę, przy której się przyuczałem, więc nauczycielka postanowiła mnie przesunąć do drugiej klasy, ze względu na posiadane umiejętności w mowie i piśmie. W 1953 rozpocząłem edukację w Szkole Podstawowej w Sobieniu, a ją zakończyłem w 1959 na sześciu klasach, bowiem do ostatniej klasy Mama przeniosła mnie do Szkoły Podstawowej nr 1 w Końskich, aby umożliwić mi dalszą edukację, a także ze względu na wysoki poziom nauczania w tym mieście. Szkołę tę ukończyłem w 1960 roku, a następnie zostałem przyjęty do „ogólniaka” w tym samym mieście.

Zanim rozpoczniemy opowieść o dalszej edukacji, trochę treści z wcześniejszego życiorysu. Od piątego roku życia pasalem krowy z Babcią Maksymową wykonując jej polecenia w przerwie, kiedy nie trzymałem się jej pasiastej spódnicy. Dla mnie była to wówczas bardzo stara babcia, a miała może około 50 lat. Kiedy chodziłem do szkoły, to krowy pasalem po zajęciach. Lekcje odrabiałem przy lampie naftowej, a radia słuchałem z „pionierka” na baterie – duże niczym akumulator samochodowy. Zawsze starałem się odrobić wcześniej lekcje, by móc razem z Ojcem słuchać Radia Wolna Europa. Ojciec co chwila wychodził rozejrzeć się, czy aby ktoś z sąsiadów nie podsłuchuje naszego radia po to, by wczesnym rankiem móc nas zadenuncjować do UB, później – SB. Ojciec bowiem nie zgodził się wstąpić do spółdzielni produkcyjnej, czyli kolchozu, dlatego był pod specjalnym nadzorem tychże służb.

Mieszkaliśmy na kolonii o czterech gospodarstwach. W środku lasu, w przysiółku Łuby, oddaleni od Łubów o jeden kilometr, które to Łuby - podobnie jak my - były częścią składową wsi Sobień. Wieś nasza była wsią partyzancką, a partyzantka ta była wszelkiej maści i różnych odcieni. Co najmniej tak, jak to było z partiami politycznymi w latach 90-tych XX wieku w III Rzeczypospolitej. Sąsiedzi z dziada pradziada wiedzieli o sobie wszystko, tak więc Ojciec wiedział kto jest kim. Kto donosi i na kogo, przed kim trzeba się pilnować, a kto jest niepewny i słaby, szczególnie jak przycisnie go UB. Dlatego już od małego upominano mnie kogo unikać, z kim gadać, od kogo brać cukierki, a przed kim uciekać. Wiedziałem też do kogo iść na kolana i do kogo się bez strachu przytulić. Babci Maksymowej miałem zawsze odpowiadać: nie wiem, nie słyszałem, na co babcia odpowiadała „siakrew”, taki mały, a taki wyszkolony i wtedy zawsze kazała mi znaleźć krowy i przygonić tak, aby je było widać. Ponieważ bardzo bałem się lasu, więc cały czas krzyczałem: Babciu Maksymowo, gdzie jesteście? Na co babcia odpowiadała: no jestem, jestem i chowała się za krzaki. Tak to przez ponad rok nauczyłem się paść krowy, oswoiłem się z lasem, a Babcia Maksymowa miała uciechę, że trochę mi nadokuczała i nastraszyła. Takie to było jej życie

i cała jej radość, gdyż szczęścia w rodzinie nie zaznała. Te pierwsze lekcje życia zawsze wspominam z rozrzewnieniem i zadumą nie nad losem moim, lecz Babci Maksymowej, mojej babci rodzonej i moich Rodziców. Kiedy poszedłem już do szkoły, przynosiłem mojej Mamie - oprócz trosk, wiele radości, gdyż byłem jej upragnionym synem i nadzieją. Wiem tylko, że Rodzice poświęcili się całkowicie, aby nas – dzieci wychować i wykształcić. Wzięli sobie to za punkt honoru. Dzięki ustrojowi socjalistycznemu udało się im to w 100% zrealizować.

Ojciec, jako chłop małorolny, dorabiał „na mularce”. Raz w tygodniu, jak przyjeżdżał z roboty, przywoził kilogram kielbasy, której smak pamiętam do dziś, szczególnie kiedy po zjedzeniu trzech kromek swojskiego, matczynego chleba – nosem przesuwając plasterki kielbasy – mogłem go w końcu zjeść - delektując się smakiem. Na szczęście zawsze nadchodził wieczór i noc, a wtedy Matka po całym obrządku szła doić krowę, a za nią młodsza siostra, ja, pies i kot. Tak to stojąc w drzwiach obory czekaliśmy aż Matka odcodzi mleko w czystej pieluszcze i naleje nam pełne półlitrowe emaliowane kubki, a kotu i psu wleje do miski mleko pół na pół z wodą. Wtedy myśleliśmy na pewno, że my to mamy szczęście i dobrze, iż nie jesteśmy zwierzętami. Pewnego wieczoru, kiedy tak piliśmy to mleko, Mama z Ojcem wspomnieli jak to przyszliśmy na świat i jak nas Babcia Maksymowa odbierała. Jak to starsze dzieci biegały do lasu, aby nazbierać kory z krzaków „smrodyny”, którą później gotowano aż nabrała koloru jodiny i używano ją do dezynfekcji. Matka zawsze starała się, abym był schludnie i czysto ubrany, mimo że do szkoły chodziłem przez las, po piasku, a na odcinku 2 kilometrów szedłem do szkoły pod górkę. Po drodze mijałem groby dwóch partyzantów.

Jako że byłem ciekawski, to znałem historię swojej okolicy z czasów II wojny światowej, szczególnie historię partyzantów, którzy przez nasze Łuby przechodzili jak przez drogę: tam i z powrotem. Raz gonili wroga, a z powrotem uciekali. Szczególnie koniec II wojny światowej obfitował w dramatyczne przeżycia całej mojej rodziny, a związane było to ze zmianą frontów. Ponieważ Ojciec musiał ukrywać się w lesie, dlatego mama ze starszą siostrą służyły za sanitariuszki, praczki, kucharki, powierniczki i słuchaczki wyznań żołnierzy i partyzantów o różnej przynależności. Ojciec mieszkał w domu tylko za dnia, o zmroku szedł do lasu, w którym wykopał sobie ziemiankę tak dobrze zamaskowaną, że nikomu nie udało się jej wykryć. Żył tak przez cztery lata - jak człowiek lasu. Należy nadmienić, że Kielecczyzna, w tym lasy od Końskich, Przysuchy, Żarnowa i Opoczna, były terenem działań partyzantów różnego autoramentu. Jedni wykorzystywali partyzantkę na szaber i grabieże, inni podszywali się pod Armię Krajową, inni pod Bataliony Chłopskie, a jeszcze inni pod Gwardię Ludową. Jednak miejscowi ludzie wiedzieli, którzy są prawdziwi, a którzy to szabrownicy.

Były jeszcze fronty niemieckie, sowieckie, które zawsze jakoś nie omijały mojego domu i mojej Mamy – wówczas młodej kobiety i matki małej dziewczynki. Mieszkając w lesie skazana była na ludzi walczących, a odwiedzających nasze gospodarstwo. Każdego trzeba było oprać, opatrzyć, odpchlić i jeszcze nakarmić. Matka wychodziła z założenia, że każdemu trzeba pomóc – nawet wrogowi. A zresztą po czym poznać wroga? Czy po mowie, czy po czynach? Ojciec dniami polował w lesie i znosił dziczyznę, aby było czym „gości” częstować. Dodam, że ojciec jeszcze wytwarzał „walutę”, bez której nie było życia, a właściwie przeżycia – samogon. Wszyscy nieprzewidziani goście wiedzieli, że Matka nie jest sama, bo skąd by wzięła to wszystko, co jest ludziom potrzebne do życia, nie pracując na to. Po latach wojny, kiedy Rodzice opowiadali sobie o minionych czasach i przeżyciach, ja w kącie siedząc chłonałem te opowieści wszystkimi zmysłami i tylko wtedy nie rozrabiałem. Byłem bardzo ruchliwy, nawet siedząc na łóżku w kuchni, kręciłem się w kółko. Kiedy Mama pytała się: dlaczego nie mogę grzecznie usiedzieć, odpowiadałem jej, że to nie ja biegam,

tylko same moje nogi, a ja nie wiem jak je zatrzymać. Rozbrajałem takim stwierdzeniem moją Matkę i zamiast klapsa, dostawałem całusa.

Teraz, po latach, też się zastanawiam dlaczego zamiast siedzieć spokojnie na d..., szukam guzów lub przynajmniej kłopotów zajmując się cudzymi sprawami, jakbym swoich miał mało. Myślę sobie, że to przez nogi, które jak w dzieciństwie same chodzą i nie mogą ich zatrzymać i aby nie było pustego przebiegu - coś tam przy okazji robię. Myślę też, że moją postawę - szczególnie wobec będących w potrzebie - wyssałem z mlekiem Matki, która chcąc mnie uchronić przed ciosami losu, dawała wskazówki jak postępować z ludźmi. Nie udało jej się jednak wypenić ze mnie ufności i bezinteresowności. Mam to po ojcu, który był najstarszym dzieckiem w wielodzietnej rodzinie. Jego rodzice, a moi dziadkowie zmarli na gruźlicę w wieku 32 lat, osierocając 12 dzieci. Dziadkowie żyli po Bożemu, zgodnie z zasadą: co rok, to prorok. Tak więc Ojciec mój w wieku 13 lat stał się „ojcem” dla swojego licznego rodzeństwa. Można sobie tylko wyobrazić przez co musiał przejść, szczególnie że nigdy w życiu nie żalił się na los, tylko za punkt honoru przyjął, że wychowa, wykształci, pożeni i dopiero wtedy sam założy rodzinę. Należy nadmienić, iż sam był chory na gruźlicę. Jak założył, tak prawie dokonał. Nie wyszło mu przy najmłodszym bracie, którego ożenił już po swoim ślubie. Moja Matka nie mogła tego pojąć, że sam nic nie posiadając, wywianował brata za pożyczone zresztą pieniądze.

W czasie II wojny światowej i po wojnie rodzeństwo Ojca nadal traktowało jego dom jak swój i domagało się, aby nadal utrzymywał ich nowe rodziny - kosztem swojej. Matka wściekła się i przejęła rządy w rodzinie odsadzając przy tym rodzeństwo Ojca od cycka. Kiedy to się stało Kostek, bo tak nazywano mojego Ojca, stał się wrogiem numer jeden dla swoich nie rodzonych „dzieci” i tak właściwie zostało aż do śmierci. Cześć z tych dzieci zginęła w czasie II wojny światowej, a cześć zmarła po wojnie. Reszta zaś nigdy nie pogodziła się z tym, że trzeba zacząć żyć na własny rachunek. Natomiast moja Matka nigdy nie pogodziła się z tym, że po Ojcu przejąłem jego naiwność, wrażliwość, głupotę i chodzenie prostymi ścieżkami. Myślę, że te cechy są z jednej strony przekleństwem, a z drugiej – błogosławieństwem. Współczuję tylko mojej żonie, że musi je akceptować, bo innego wyjścia nie ma.

Teraz, kiedy rozmyślam czasami nad minionym życiem, myślę, że duszę mam swoją, ale skażoną cechami przekazanymi przez Rodziców w równych częściach. Ja mogę to zaakceptować, mogą to zaakceptować moi znajomi, koledzy, bo o przyjaciół trudno, ale dlaczego rodzina musi cierpieć. Widocznie takie są wyroki Boskie. Tak to przeplatają się przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, które to kategorie czasowe mają dla nas – istot ludzkich – różne znaczenie w różnych okresach życia. Jest w nas potrzeba określenia czasu i miejsca zdarzenia, które to zdarzenie jest czystym doświadczeniem po to, aby wyciągnąć wnioski na przyszłość, gdyż historia zatacza krąg - z naszym udziałem. Bywa jednak, że my sami stwarzamy pozory, które dla innych są faktami.

Moi Rodzice mieli ambicję, aby ich dzieci były wykształcone, gdyż stwarzało to szansę na lżejszą pracę niż praca w polu, którą znali jako najgorszą, najpodlejszą formę egzystencji. Byli na nią skazani i nie byli w stanie się wyzwolić, jedynie poprzez następne pokolenie. Ojciec często powtarzał i wpajał mi pewne mądrości ludowe, które z reguły okazywały się prawdą. Weźmy pierwsze z brzegu przykłady: „Wszyscy od myszy do cysorza, żyją z pracy gospodarza” lub „Żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał” i „Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć”.

Ponieważ praca na roli w pierwszych latach powojennych była najbardziej upokarzająca, prawie niewolnicza, więc Mama robiła wszystko, by umożliwić nam dalszą

naukę. To z kolei stwarzało pozór bogactwa, gdyż we wsi na 120 domostw, tylko kilku rolników kształciło swoje dzieci. Muszą być bogaci, dorobili się na partyzantach skoro stać ich na taki wydatek. Znaleźli się tacy, którzy już po wojnie postanowili w nocy na nas napaść i okraść. Mimo grózb, bicia, przypiekania żelazem nic nie mogli wziąć, bo nic do wzięcia nie było, a biedy to nikt nie potrzebuje. W końcu rozsierdzeni rabusie odeszli – przedtem robiąc wiele szkód. Na szczęście dla nas nie odebrali nam życia. W innym miejscu zdobyli większy łup, ale też mieli pecha, gdyż zostali złapani i później ponieśli karę. Wydaje mi się, że ta cecha pozornego bogactwa przyłgnęła do mnie stwarzając w moim życiu same kłopoty. Dla mnie posiadanie nigdy nie było celem, a pieniądze nie miały znaczenia, gdyż nie trzymały się mnie, wręcz uciekały do innych. Dlatego też nigdy nikomu niczego nie zazdrościłem, zawsze cieszyłem się z cudzego szczęścia, powodzenia czy pomyślnego losu.

Zawsze interesowali mnie ludzie inni, odmieńcy, szaleni, zwariowani, nietypowi i od najmłodszych też lat lubiłem przebywać tam, gdzie się coś działo, gdzie były muzyka czy teatryki. Moje zainteresowania zawsze krążyły wokół zjawisk nietypowych, które można było doświadczyć inaczej niż wszyscy. Po latach doszedłem do wniosku, że to czego się nauczyłem w życiu, było mi potrzebne w pracy, egzystencji, ale oprócz tego istniał drugi świat, który poznawałem i doświadczałem sam lub w taki sposób, w jaki czyniło to niewielu. I to dopiero było ciekawe i dawało przeżycia, a także zdolności, którymi posługiwałem się niosąc pomoc innym potrzebującym – podobnie jak ja – innych doświadczeń z innych źródeł mocy.

Ta chęć poznania, doświadczenia i przeżywania pojawiła się kiedy uczyłem się religii w 11-tej klasie w ogólniaku w Świdnicy. Były to okazje do dyskusji o wierze, Bogu, poszukiwaniu sensu życia. Kontynuacją tego typu poznawania był udział w rekolekcjach czy też innych spotkaniach duchowych w Katedrze Biskupiej we Wrocławiu na Ostrowie Tumskim. Tam rozbudzono we mnie ciekawość poznania życia w innym wymiarze – nie tylko tym ziemskim.

Kiedy po studiach rzuciłem się w wir pracy zawodowej wszystkie te ideały przeszły na dalszy plan, bo była rodzina, praca, a właściwie harówka od świtu do nocy, a często – jak to w zawodzie weterynarza – noce też miałem nieprzespane. Był człowiek młody, silny i głupi, więc to wszystko miało sens. Kiedy niezauważenie zaczęły pojawiać się problemy ze zdrowiem, zmęczenie i poczucie bezsensu tego, co człowiek robi, wtedy wróciły rozmyślenia nad sensem egzystencji, nad wiarą, religią i w konsekwencji Bogiem jako źródłem i celem człowieka w drodze do poznania.

Poznawałem różne formy i postaci Boga wyznawane na Ziemi. Dało mi to przekonanie i utwierdzenie się w wierze katolickiej, iż idąc tą drogą życie ma sens, podobnie jak i inne formy bycia. Zrozumiałem pojęcie Boga, zasady wiary oraz sens słów, których słuchałem podczas mszy, ale ich przedtem nie rozumiałem. Wszystko to stało się po wizycie u Ojca Świętego Jana Pawła II w 1989 roku. Wtedy zrozumiałem, iż w życiu, a człowieka szczególnie, nie istnieją przypadki, lecz kolejne, następujące po sobie zdarzenia, które w konsekwencji prowadzą do Boga jako istoty określonej nieskończonością, jednością, bytem nieokreślonym, a zarazem wszystkim, co było, jest i będzie, czyli wszystkim, co znamy, wiemy, odczuwamy, przeżywamy czy oczekujemy. Tak więc zacząłem odczuwać piękno nas otaczające, piękno istot żywych i natury martwej, piękno ludzkiej pracy i ludzkiego talentu, piękno ludzkiej myśli spisanej, wypowiedzianej, nawet tej, która krąży we Wszechświecie, aby inni mogli się nią pożywić po wsze czasy, ciesząc tych, którzy przyjdą po nas i będą kontynuować nasze dzieło stworzone z myślą o potomnych, dla ich dobra, a nie na ich udrękę. Stąd wszelkie formy negatywnych zachowań ludzi nie powinny być wzorem do

naśladowania, gdyż prowadzą do ich powielania i unieszczęśliwiają innych. Dlatego też popieram wszelkie formy piękna i miłości, które ludzie pozostawiają po sobie, aby do innych przemawiały, szczególnie wtedy, gdy zwątpią i będą poszukiwać sensu i drogi innej niż ta, która idą.

Tak trudno spotkać ludzi, którzy nadają na fali spokoju, miłości i radości życia. Stąd cytat z wiersza Księdza Twardowskiego „Spieszmy się kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą” winien być wyryty na ołtarzach nie tylko świętych, ale i w ludzkich sercach. Świat niewidzialny, poznawalny jest sercem, zmysłami, a nam się wydaje, że wystarczy kontynuować to, co inni uznali, a zrozumiemy sens istnienia. Nic bardziej błędnego, przecież oni, którzy byli, szczęścia nie znaleźli, więc niech każdy z nas szczęścia szuka w miłości szeroko pojętej pamiętając, że Bóg jest tylko i wyłącznie miłością, a nie tym, co każdy Mu przypisuje.

Mieszkałem w Końskich, uczyłem się w ogólniaku i uczestniczyłem czynnie w życiu szkoły. Zawsze starałem się równać do najlepszych. Ponieważ ci najlepsi byli najlepsi w jednym, a najgorsi w innym – starałem się unikać sytuacji, w których mógłbym być „wrobiony” w afery, które rzutowałyby na moją dalszą edukację. Miałem świadomość, że mnie nikt nie wykupi, nikt nie wybroni i nikt się za mną nie wstawi...

Mimo moich starań efekty w nauce były marne gdyż zaległości było dużo. Zawsze ciągnęło mnie do pracy społecznej na rzecz środowiska, w którym żyłem oraz do sportu – gdyż tutaj miałem szansę wygrać – jeśli się przyłożę. Zawsze też pamiętałem o maksymie, iż lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć. Tak więc dużo uczyłem się, uprawiałem sport i jadłem, jadłem, jadłem... Aby najeść się do woli, to jako mieszkaniec internatu byłem stałym ochotnikiem do dyżurów w stołówce. Miałem szczęście, bo nikt tego nie lubił. Ja też nie przepadałem za tą funkcją, ale fakt, że tylko w ten sposób mogłem najeść się do syta przemawiał do moich potrzeb życiowych.

W drugim roku nauki w liceum, czyli w tamtych czasach w 9-tej klasie, co tydzień na wychowaniu fizycznym nauczyciel przesuwiał mnie z ostatniego miejsca w szeregu o jedno miejsce do przodu. Było to zawsze przedmiotem kłótni, a w konsekwencji – złego stopnia. Okazało się pod koniec roku, że to nie moja wina tylko mojego wzrostu, bowiem co tydzień rosłem o 1 centymetr. Tak więc w 3 klasie liceum byłem już na trzecim miejscu w szeregu, zamiast zajmować ostatnie – jak to było w drugiej klasie. Ponieważ równocześnie uprawiałem intensywnie różne sporty (biegi, skoki, kulturystykę, siatkówkę i piłkę ręczną), koledzy, którzy na początku dawali mi wciry, zaczęli czuć respekt. A ja, mimo iż byłem niespotykane spokojnym człowiekiem, to w kaszę nie dałem sobie dmuchać. Tak to ucząc się, uprawiając sporty osiągnąłem minimalnie średni poziom, ale stabilny, co w tamtych czasach i w tej szkole było dużym osiągnięciem. Ocena 3 w pięciostopniowej skali stanowiła o mocnej pozycji wyjściowej przy startowaniu na studia.

Drugie wydanie poszerzone książki Z. Paduszyńskiego: *Z życia nie ludzkiego lekarza wzięte przypadki*.

Zdzisław Paduszyński, Prezes TMZK

SPRAWIEDLIWY MIĘDZY NARODAMI ŚWIATA Cz. 1

Był wieczór, kiedy do drzwi zapukało troje ludzi: młoda kobieta i dwóch mężczyzn... Zanim jednak zapukali, zanim rozległy się w suterenu mieszkaniu przy wileńskiej ulicy Ostrobramskiej nieśmiałe stuknięcia, miasto widziało bezmiar ludzkiego poniżenia i nieszczęścia. Zanim Jan Pietkun odkręcił klucz w zamku, znał już to wszystko, co człowiek wie o losie innych ludzi.

Po wielu latach, w kwietniowy wieczór 1962 roku, powiedziano mu w telawiwskim domu przy ulicy Sutin 15, że był telefon z izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pani minister Golda Meier zaprasza zasłużonego Polaka w dzień święta narodowego, 1 maja, o 7 rano, do Jerozolimy, aby dał wraz z innymi początek, sadząc symboliczne drzewko „Alei Dobrych Chrześcijan”. Zanim jednak Jan Pietkun wyjechał w gościnę do Izraela, nim rządowe auto zawiozło go z Tel-Awiwu na Górę Bohaterów w Jerozolimie, a tam nachylił się nad wysuszoną ziemią, wsadził w nią wątłe drzewko cyprysu i wyprostował plecy – były dnie i miesiące zwykłego ludzkiego strachu o życie tych, co pod podłogą, o istnienie córek Halinki i Jagody, wreszcie żony Marii i o własne. Maria była jeszcze także prawie dzieckiem, wyszła za mąż mając 16 lat, więc sam wziął ciężar odpowiedzialności.

Były wreszcie tygodnie poprzedzające naszą, także wieczorną wizytę. W czasie których Jan Pietkun dowiedział się z wielu publikacji, co leży w charakterze Polaków. Mógł przeczytać i usłyszeć, iż jesteśmy współwinni z hitlerowcami, być może winni bardziej od nich. Mógł znaleźć w wydanej w Polsce książce Grynberga słowa dobrych oprawców, skarżących się: my byśmy was wypuścili, ale co powiedzą Polacy, którzy was wydali w nasze ręce? Rodziły się w nim różne myśli. Zbyt wielki ciężar, jak na jednego człowieka, za ciężki także dla tych setek tysięcy, które uratowały 110 tysięcy, a tak niektórzy żydowscy historycy obliczają nawet około 300 tys., polskich Żydów, brzemień to zbyt przytłaczające dla całego narodu.

Były trudne wydarzenia przed owym zapukaniem w drzwi suterenu przy ulicy Ostrobramskiej 25. W drzwiach stanęło troje nieznajomych Żydów i prosiło o przyjęcie. Obojętnie na wynik decyzji, drzwi trzeba było zamknąć i zaprosić rozmówców, bo na wszystkich piętrach wysokiego gmachu rozmieścili się na

stałe hitlerowcy, trzeba było tak uczynić, a dopiero wtedy ważyć przyszłą odpowiedź. Jan Pietkun wie już, co odpowie swoim niezwykłym gościom, ale jest w nim strach nie tylko o ich i własne życie. Wie, co odpowie, bo słyszał egzekucyjne strzały na wzgórzach Ponarach, bo wiedział jakie piekło skrywają mury getta zamkniętego w granicach placu Bosankowego, ulic Niemieckiej i Żydowskiej oraz posesji ojców Franciszkanów. Całe Wilno wiedziało.

Był dzień, kiedy organizacja kazała mu zawieść ważne wiadomości i rozkazy do jednej z wiosek za miasto. Jadąc rowerem minął uszeregowany pochód tysięcy może Żydów, wyprowadzonych z getta. Pochód zamykał garbaty staruszek, otwierał starzec z dostojną, siwą brodą. Najczęściej byli to ludzie słabi, wycieńczeni, niezdolni do pracy. Jednak silniejsi spośród nich podpierali lub nieśli tych u kresu sił. Strzegli ich jedynie jeden Niemiec i siedmiu nacjonalistów litewskich i ukraińskich. Wartowników więc prawie nie było widać przy takiej masie ludzkiej nędzy. – Dokąd idziecie, ludzie? – Idziemy w lepsze miejsce, odzyskamy zdrowie. –

Minął ich przed kolejowym przejazdem a kiedy po kilku godzinach wracał, nigdzie na swej trasie nie spotkał tego niewiarygodnego konduktu. Nie widział nigdzie porzuconych rzeczy, nawet lalek i zabawek. Dopiero koło przejazdu w stronę Wilna dostrzegł znajome ślady. Zawrócił i zatrzymał się przed siwym dróżnikiem.

- Gdzie poszli?
- Oni już nie żyją – odpowiedział kolejarz i wskazał na pobliskie Ponary.
- To niemożliwe, tam był tylko jeden hitlerowiec.
- Stąd widać cztery rzędy świeżej, nie zaschniętej jeszcze ziemi. Tam oni zabiwszy ich i zagrzebawszy. Ja im mówił: wy uciekajcie, tam wasz grób, ale nie usłuchali mnie i poszli za rabinem albo starszym żydowskiej gminy. Bezwolni. Nie uwierzywszy mnie.

Trzymał w ręku czapkę, jakby stał nad tym wielkim grobem ludzi, którzy tak niedawno jeszcze mijali ten przejazd, jakby stał nad mogiłami tych tysięcy, którzy przemaszerowali w ostatnich czasach przed budką i mieli w oczach nadzieję lepszego losu, nad ziemią skrywającą także tych przewożonych pośpiesznie zamkniętymi samochodami. Jego siwe włosy rozwiewały się na wietrze i wtedy Pietkun spostrzegł, że pobierał kolejarz jest chyba młodym

człowiekiem. Miał dopiero 25 lat i jeszcze kilka tygodni temu był brunetem, potrafił się bawić i uśmiechać. Ale ze swego miejsca pracy człowiek ten widział codziennie zbyt wiele. Na przybyszów czekały tam łopaty, a kiedy rowy były dość głębokie, wszyscy musieli się rozbierać. Najsilniejszych ustawiano z boku. Inni układać musieli rzeczy na sterty a potem pod okiem tych kilku wartowników je pruć, nicować, wydobywać ukrytą biżuterię i złoto oraz wartościowe waluty. Z dróżniczej budki słyszał było tylko wielki krzyk i lament, ludzkie wołanie o zmiłowanie i pomoc. 'We wszystko to wdzierał się jazgotliwy turkot maszynowych karabinów, pod których kule wchodzić musieli w przewidzianym porządku nadzy ludzie. Czasem ku wzgórzom szedł lamentliwy śpiew psalmu dawidowego ze starczych gardzieli. Kiedy w pierwszym grobie warstwy nagich ciał sięgały prawie powierzchni, wtedy do pracy wkraczali ci najsilniejsi, pielęgnujący w sobie nadzieję przeżycia, bo byli potrzebni. Czynności przewidziane porządkiem rzeczy: chlorek wapnia, cienka warstwa ziemi oraz wyciągnięta ręka SS-mana wskazująca miejsce w dole dla tych ostatnich. Dlatego ten młody człowiek stał się starcem, z tej przyczyny przestał się uśmiechać. Trwał w miejscu tak szczególnym, bo czasem ktoś uwierzył jego ostrzeżeniom i uratował swoje życie ucieczką. Ale to zdarzało się rzadko. Szli za swoimi starszymi i z nimi dochodzili swego kresu.

Po przyjeździe Niemców do Wilna, pomimo posiadania wykształcenia, Jan Pietkun wolał pracować jako krawiec w sporej fabryce firmy Kailis, liczącej ponad 400 rzemieślników. Przede wszystkim zgrupowano tam, wyciągniętych z sąsiedniego getta żydowskich kuśnierzy i krawców. Wyodrębniono nawet dla nich, poza murami tamtego miejsca zgrozy, 2 duże bloki. Przydziały żywności otrzymywali niskie. Pietkun był jednym spośród tych kolegów polskich, którzy postanowili przyjść im z pomocą. Za ich przyczyną wiele wozów drzewa powędrowało do bloków. To samo było z ziemniakami a nierzadko także z bardziej wartościowymi produktami. To była pomoc zbiorowa, a ogromną wartość miała przecież również ta indywidualna, bezpośrednia. Dzielenie się śniadaniową kromką chleba i tytoniem, wiadomościami z kraju i ze świata. Za pośrednictwem polskich i litewskich Żydów z firmy Kailis szła ponadto pomoc do getta, dostarczali jej także wilnianie bezpośrednio.

Wiadomościami otrzymywanymi od dróżnika Pietkun podzielił się z drem Feigusem, który pracował także jako kuśnierz. Wszyscy Polacy wiedzieli, że jest on komunistą. W czasie władzy radzieckiej on objął szpital, został jego dyrektorem i jawnie wszystkim współpracownikom było powiedziane, że przez

wszystkie poprzednie lata posiadał on ścisłe kontakty ze Związkiem Radzieckim. Nikt z Polaków ani Litwinów nie wydał go Niemcom. Dr Feigus i jego współtowarzysze zdecydowali, że trzeba stworzyć organizację bojową. Polacy dostarczyli im broni.

Ale w tym czasie w getcie ginęli ludzie. Słabych poddawano selekcji, której dokonywać musieli sami ich ziomkowie. Wśród słabych znajdował się także właściciel tartaku, stary Żyd o nazwisku Steinhauer ze swoim synem Lipmanem. Znajomy Pietkuna Kazimierz Pipilewicz otrzymał od Steinhauera kartkę z getta:

- Ratuj, Kaziuk, bo umieramy z głodu. Pomóż.

Poszły paczki. Ale po dłuższym czasie:

- Pomóż nam uciec za miasto. Będą 3 osoby.

Sam Pipilewicz nie mógłby pomóc Steinhauerom, choć bardzo tego pragnął. Zawdzięczał staremu właścicielowi tartaku wiele. Był stolarzem, ale nie miał desek, ściślej – nie posiadał pieniędzy na ich nabycie. Żona umierała, córka ciężko chora, czworo dzieci głodnych, u niego samego gruźlica. Poszedł w stronę Ponar ze sznurem w kieszeni, po drodze zemdłał. Tak go spotkał stary Steinhauer. Ocucony, bezrobotny stolarz powiedział: ratujcie moją rodzinę. Pojawiły się na podwórzu domu przy ul. Zamkowej 7 skredytowane deski i zamówienia z Uniwersytetu im. Batorego. Z pożyczonych mu 500 zł Pipilewicz mógł leczyć i żywić rodzinę, wznowić pracę. Więc owe steinhauerowskie wezwanie o ratunek działało tu dodatkowo. Bez Pietkuna, bez pośrednictwa ludzi pracujących u Kailisa, pomoc byłaby niemożliwa, szczególnie gdy chodziło o wydobyć starca, z jego synem, z getta. Jednak getto wileńskie przeżyło nowe dziesiątkowanie, które objęło także starego Steinhauera. Syn Lipman odziedziczył adres. Wraz z nim zostało wyprowadzone małżeństwo Buwilskich. Anna i Dawid niedawno się pobrali. On był inżynierem chemikiem. Na Zamkowej u Pipilewiczów ukrycie troje Żydów było niemożliwe, więc Jan Pietkun załatwił dla nich miejsce u pewnej znajomej kobiety. Jej nazwiska już nie pamięta. Mieszkała za miastem. Ale oto adres się spalił. Były wszelkie dane na to, że Niemcy wpadli na trop tej skrytki. Ktoś ostrzegł. Dlatego właśnie tamtego sierpniowego wieczoru 1943 roku Lipman Steinhauer oraz Anna i Dawid Buwilsy zapukali do mieszkania przy ul. Ostrobramskiej.

- Jeżeli pan nas nie przyjmie, mamy tylko jedną drogę – powrót do getta.

SŁOWA NA WIATR

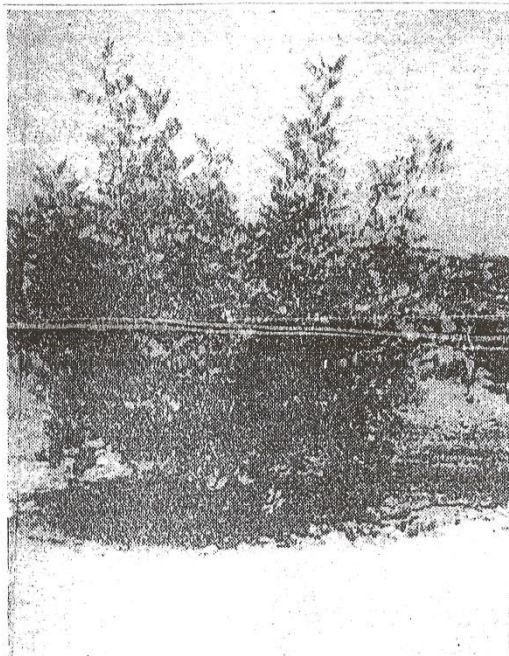
PAMIĘTNIKI

KRESOWE HISTORIE - WILEŃSCY CISI BOHATEROWIE

24.11.2013 | 16:50

Jego wiedza jest imponująca, a spisana przez niego *Saga rodzinna* jest barwną historią kresowej codzienności, zwykłej i bohaterskiej zarazem. Poruszyła mnie historia ks. Witolda Pietkuna i jego brata Jana, spokrewnionych z wielu Niemców. *Saga rodzinna* jest barwną historią kresowej codzienności, zwykłej i bohaterskiej zarazem. Poruszyła mnie historia ks. Witolda Pietkuna i jego brata Jana, spokrewnionych z wielu Niemców.

Autorem. Przedstawiam Państwu fragmenty *Sagi rodzinnej* Józefa Chodźki, uzyskawszy zgodę Autora.



Cyprys zasadzony własnoręcznie przez Jana Pietkuna po 3 latach.

Parafia Wszystkich Świętych graniczy z murami wileńskiego getta. Na plebanii oprócz Proboszcza i ks. Witolda Pietkuna mieszka jego brat Jan z poślubioną młodzieńką 16-letnią małżonką Marią z Kozłowskich. Młodzi Pietkunowie przenieśli się tutaj z innej dzielnicy zajętej przez Niemców z całym swoim dobytkiem w postaci mebli, pościeli i... trójki Żydów, których u siebie ukrywali. Witold oczywiście był we wszystkim wtajemniczony. Najwięcej pracy miała w tym czasie Maria, która nie tylko karmiła całą trójkę, ale musiała wynosić z kryjówki nieczystości, ponieważ mieli oni zakaz wychodzenia na zewnątrz. Za murem kościelnym było getto i bez przerwy kręciło się w pobliżu Pietkuna i jego brata Jana, spokrewnionych z wielu Niemców. Szczęśliwie dotrwali tak do końca wojny. Ocaleni Żydzi wyjechali do Izraela. Historię ratowania Żydów przez ks. Witolda Pietkuna i jego brata Jana z żoną poznałem w szczegółach od córki Jana Pietkuna - Haliny Pietkunówny (po mężu Moszyk), od której otrzymałem sporo dokumentacji w postaci zdjęć i opisu prasowego, w którym to dowiadujemy się, że Jan Pietkun uhonorowany został mianem Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata przez państwo Izrael i jako siódmy z kolei człowiek posadził drzewko cyprysowe w Jerozolimie w 1962r. Na uroczystości tej była Golda Meir. Do Izraela Jan pojechał sam, ponieważ na dzień przed ich wyjazdem zmarł ojciec Marii.

(Obszerne fragmenty artykułu wplecione w *Sagę rodzinną* mają podwójną funkcję: informują o zaszłych zdarzeniach i są dowodem „w sprawie”. Ponadto reportaż napisany przez dziennikarza specjalizującego się w kresowej tematyce dobrze się czyta.(cdl)

The Dedication of the Avenue of the Righteous Among the Nations. "... <http://www.yadvashem.org/yv/en/exhibitions/righteous/milestone05.asp>

I Am My Brother's Keeper

A Tribute to the Righteous Among the Nations

The Dedication of the Avenue of the Righteous Among the Nations

"Drops of Love in an Ocean of Poison"

The Avenue of the Righteous Among the Nations was dedicated on Holocaust Remembrance Day, May 1, 1962. The Israeli government was represented by Foreign Minister Golda Meir, and the first eleven trees were planted along the path leading to the Hall of Remembrance on the bare hill of the Mount of Remembrance. The trees were placed in the ground by rescuers from different countries as well as by their Israeli hosts – the Jews they had rescued.

In her speech Golda Meir said that "the Jewish people remember not only the villains, but also every small detail of the rescue attempts." She compared the Righteous Among the Nations to drops of love in an ocean of poison, and said that "they rescued not only the lives of Jews, but had saved hope and the faith in the human spirit."

The first trees – 1 May 1962

The first trees were planted before the establishment of the Commission for the Designation of the Righteous in the beginning of 1963.

Maria Babich (Ukraine) »

Maria Charaszkiewicz (Poland) »

Paul & Jeanne Duysenx (Belgium) »

Ilona Elias (Hungary) »

Alphonse & Emilie Gonsette (Belgium) »

Paweł Horbaczewski (Poland) »

Helena Korzeniewska (Poland) »

Władysław Kowalski (Poland) »

Jan Pietkun (Poland) »

Zygmunt & Wiktoria Strusinski (Poland) »

Karla Weiss (Czech) »

Wiesław Hładkiewicz

Spacerem po Krośnie Odrzańskim Część 2. Krosno Odrzańskie przed tysiącem lat

Był to gród nie do zdobycia. Dwukrotnie: w 1005 i 1015 roku stanowił przeszkodę dla ekspansji Niemców. W 1005 roku celem wyprawy cesarza Henryka II na Polskę było jej rozbicie i podporządkowanie. Wojska cesarskie z rejonu ostatecznej koncentracji pod Chociebużem wyruszyły na Gubin i dalej pod Krosno. Stanęły pod Krosnem w połowie września 1005 roku. Stąd już prowadziła droga na Poznań, kupcy wykorzystywali ją jako „trakt solny”.

Jak pisał kronikarz Thietmar o dotarciu wojsk Henryka II pod Krosno:

„...oddziały dotarły wnet do Odry i rozbiły namioty nad krętą rzeką zwaną po słowiańsku Bober, po łacinie zaś Castor. Bolesław jednak obwarowawszy brzeg tej rzeki i usadowiwszy się z wielkim wojskiem w Krośnie przeszkadzał, jak mógł w przeprowadzeniu się ich na drugą stronę. Kiedy król zabawiwszy tam siedem dni, jął przygotowywać już okręty (łódzie – W. H.) i mosty”.

Król Henryk II odstąpił od zdobycia grodu w Poznaniu, który był silnie umocniony. Coraz trudniej było o pożywienie i o paszę dla koni, armia zaczęła się więc buntować. Z zadowoleniem król przyjął propozycję Bolesława Chrobrego o zawarciu pokoju. Thietmar niewiele pisał o warunkach tej ugody. Chrobry zrezygnował z Łużyc i Miłska oraz roszczeń do Czech, ale nie uznał zwierzchnictwa Henryka II nad Polską ani nie złożył mu hołdu i daniny. A to był przecież główny cel wyprawy Henryka II.

Do kolejnej próby podporządkowania Polski przez wojska Henryka II doszło w 1015 roku. Podobnie, jak w 1005 roku Henryk II zamierzał przekroczyć Odrę w Krośnie i dalej udać się na Poznań i Gniezno. Celu znowu nie osiągnął. Krosna bronił syn Chrobrego, Mieszko II, z którym cesarz pertraktował, jednak bez rezultatów. Nękani przez wojska Mieszka i Chrobrego Niemcy zawrócili z okolic Międzyrzecza. Pragnąc uniknąć walk pod Krosnem, sforsowali Odrę w okolicy dzisiejszych Cigacic i zmierzali do powrotu do Niemiec.

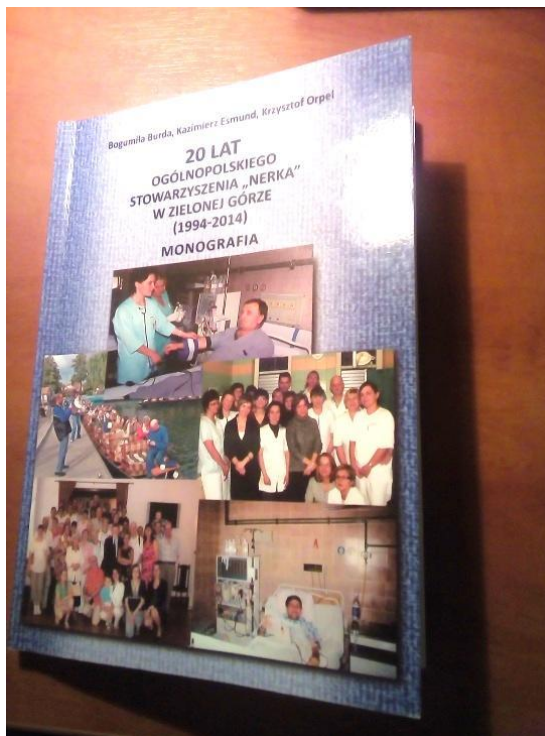
Henryk II wraz ze swoim orszakiem opuścił armię i udał się do Miśni, natomiast główne siły niemieckie zostały otoczone w lasach między Przemkowem i Szprotawą gdzie zostały rozbite. Zginęło wówczas – jak pisze Thietmar- „dwustu najprzedniejszych rycerzy, o których imionach i duszach niechaj Bóg wszechmogący w swym miłosierdziu pamięta”

Jeszcze raz cesarz próbował, w lipcu 1017 roku, uderzyć na Polskę pod Krosnem. Jednak, gdy dowiedział się o dużej koncentracji wojsk Chrobrego w okolicach grodu, zrezygnował z tego zamiaru i skierował się na południe, na Śląsk. Pokój w Budziszynie zawarto 30 stycznia 1018 roku. Ale to już inna historia!

**Prof. dr hab. Wiesław Hładkiewicz,
Instytut Politologii, Uniwersytet Zielonogórski**

Recenzja książki

Bogumiła Burda, Kazimierz Esmund, Krzysztof Orpel, *20 lat Ogólnopolskiego Stowarzyszenia „Nerka” w Zielonej Górze (1994-2014)*, Zielona Góra 2014.



Stowarzyszenie „Nerka” powstało by reprezentować interesy osób chorych nefrologicznie w ich trudnej sytuacji materialnej i społecznej, zrzesza zarówno osoby cierpiące na choroby nerek, jak i te, które pragną im pomagać i wspierać je na różnych płaszczyznach życia: członków rodziny, znajomych, personel medyczny.

Z powstałej kilka lat temu z okazji dwudziestolecia działalności stowarzyszenia książki dowiadujemy się wielu cennych rzeczy na temat tego, jak ważna i wielopłaszczyznowa jest działalność tego stowarzyszenia. Na 140 stronach znajdziemy opis celów, zadań, a także tego, jak stowarzyszenie powstało i czym zajmują się jego członkowie. Dokładny opis szkoleń, warsztatów i projektów oraz różnych akcji związanych z promocją zdrowia, w tym dni otwartych, pikników czy spotkań integracyjnych oraz tego, jak akcje te wspierane są przez Urząd Miasta oraz Urząd Marszałkowski pokazuje, że jest to poważnie traktowana działalność i że zdrowie jest dla wszystkich najważniejsze. Dzięki działalności stowarzyszenia ludzie coraz częściej wykazują świadomość, że należy dbać o stan swojego zdrowia i zdobywać jak najwięcej informacji na temat zapobiegania różnym schorzeniom, także tym związanym z chorobami nerek.

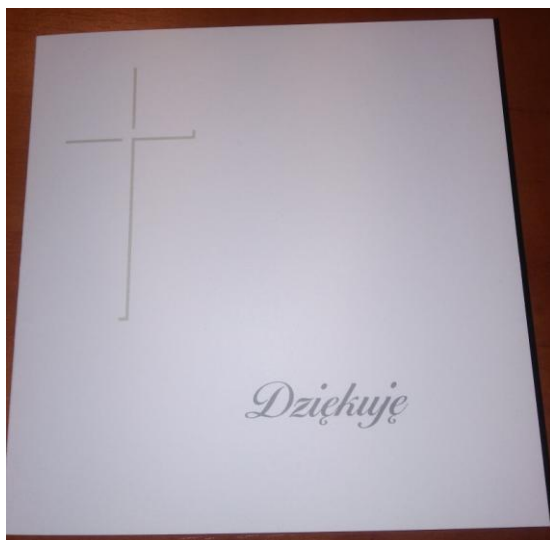
Coraz więcej osób wie o tym, że 26 stycznia obchodzimy Światowy Dzień Transplantacji a to wszystko dzięki organizowanym przez stowarzyszenie w tym okresie akcjom informacyjnym, balom charytatywnym z loterią fantową, na którą zarówno firmy, jak i osoby prywatne chętnie przekazują wartościowe fanty, aby jak tylko mogą wspomóc ratowanie zdrowia osób, które dobra kondycja opuściła. Wszystkie te akcje mają na celu zdobycie funduszy na doposażanie Oddziału Nefrologii czy Stacji Dializ.

Na kartach książki znajdujemy także informację o początkach walki o zdrowe nerki w Zielonej Górze, gdzie pierwsze dializy miały miejsce już w 1975 roku dzięki urządzeniom zakupionym za zebrane środki oraz z darów. Od początku walka toczyła się o zdrowy tryb życia pacjentów, zapewnienie im regularnego dostępu do leków, badań, rekonwalescencji oraz pomoc i pośrednictwo w zorganizowaniu tego wszystkiego dla osób, które z powodu choroby nie czują się na siłach same załatwiać spraw związanych ze swoim leczeniem.

Z powodu coraz większej zachorowalności na choroby nerek większy nacisk kładziony jest na profilaktykę, ważne więc stało się wychodzenie do ludzi, organizowanie na deptaku dni otwartych. Rozdawane są ulotki informacyjne, istnieje możliwość rozmowy z osobami dializowanymi i po przeszczepie, przeprowadzane są także pokazy, jak udzielić pierwszej pomocy, poza tym lekarze nefrolodzy przeprowadzają prelekcje.

Budujące jest to, że w książce znajdujemy ogromną ilość fotografii osób, dla których stowarzyszenie działa i którym pomaga, dzięki temu osoby te przestają być dla nas anonimowymi liczbami w zestawieniach. Widzimy uśmiechy na ich twarzach i twarzach członków ich rodzin, jest to radość z powodu tego, że komuś zależy na walce o ich zdrowie i życie, że w chorobie nie zostali pozostawieni samym sobie. Dlatego warto sięgnąć po tę książkę, by móc dostrzec i w pełni docenić, jak wiele osoby pracujące na rzecz „Nerki” robią dla innych ludzi.

**Joanna Kasprowicz,
Członkini TMZK, doktorantka UZ**



*Wszystkim,
którzy w tak bolesnych dla nas
chwilach dzielili z nami smutek i
żal, okazali wiele serca i
życzliwości oraz uczestniczyli we
Mszy św. i ceremonii pogrzebowej
Ś.P. Józefa Cieślak
serdeczne podziękowania składa
żona Kazimiera Cieślak z rodziną*

KROSNO NAD ODRA

Wydawca: Joanna Kasprowicz

Adres redakcji: ul. Piastów 22c/1, 66-600 Krosno Odrzańskie

e-mail: krosno_nad_odra@wp.pl **tel.:** 785 645 653

Redakcja: Joanna Kasprowicz – **red. naczelna**, zespół – Towarzystwo Miłośników Ziemi Krośnieńskiej

Nr rej. 489, Ns. Rej. Pr. 11/16

Czasopismo bezpłatne, redakcja nie przewiduje honorariów dla autorów artykułów.